

Świąt w tym roku nie będzie.

Mój bojkot Bożego Narodzenia miał swoje źródło w ciężkich doświadczeniach lat poprzednich.

Zaczynało się już miesiąc przed.

Podczas gdy w telewizji radosne bałwanki śpiewały kolędy, a grubi Mikołajowie zapowiadali spełnienie marzeń, ja zastanawiałam się skąd wziąć pomysły na prezenty. O pieniądzach nie wspominam, bo nie ma sensu mówić o nieobecnych. Moje starsze dziecko, lat czternaście, zafascynowane heavy metalem i wszystkimi innymi metalami ciężkimi, nawet nie udawało, że poprzednie niespodzianki zrobiły na nim wrażenie.

- No, widzę, że wydaliście trochę kasy na mnie, ale mogliście dać mi tę kasę, byłoby naprawdę lepiej – wyznało rok temu, ujrzawszy oryginalny ciuch, na który wydałam pół skromnej pensji.

Drugie pół poszło na prezent dla młodszego dziecka, które to dziecko miało być zadowolone z pluszaka wielkości szafy trzydrzwiowej, ale niestety nie było.

- Kochanie, przecież chciałaś takiego misia, pamiętasz jak pokazywali go w telewizji...? – zaczęłam łagodnie.

- Ale Maja ma innego, ja chcę takiego samego jak Maja! – wydarło mi się moje sześciolatnie dziecko, sugerując niesugerowanie się w przyszłości telewizyjnymi reklamami.

Skończyło się tym, że superdrogi ciuch zbierał kurz w szafie, a reklamowany miś w przedpokoju, bo w szafie się nie zmieścił. Niestety, na tym nie kończyły się świąteczne kłopoty.

Niewinny telefon na trzy dni przed wigilią zapowiadał ciąg dalszy.

- Skarbie, w tym roku przyjedziemy do was na wigilię, tak rzadko się widzimy... – szczebiotała do słuchawki teściowa. Ja oczywiście byłam innego zdania, jak dla mnie widywaliśmy się trochę za często, ostatecznie w ciągu roku była jeszcze Wielkanoc i parę innych uroczystości rodzinnych, ale może mamusia zapomniała.

- Dobrze mamusiu – zaświergotałam, pamiętając, że w święta należy być miłym dla ludzi, zwierząt i teściowych.

Niestety, sympatycznie było tylko na odległość, na żywo znacznie więcej emocji.

- Ten barszczyk skarbie... – zaczynało się już po pierwszym zabłyśnięciu pierwszej gwiazdki na niebie – ten barszczyk jakiś taki... bezbarwny.

- Ale smaczny? – pytałam z nadzieją.

- No wiesz skarbie... ja robię inny, ty pewnie z proszku. Za moich czasów nie było proszku, człowiek musiał sam sobie radzić bez tych wszystkich trucizn i chemikaliów...

Przez kolejne pół godziny wysłuchiwałam opowieści o starych czasach, kiedy to zupy były bez proszku, bez zalewania, a życie znacznie trudniejsze. W takich momentach miałam ochotę dodać, że i telefonów nie było, i samochodów nie było, i teściów na święta...

Gryzłam się w język do krwi, która to mogłaby zabarwić bezbarwny barszczyk.

Nie wiem co robił mąż w czasie, gdy moja zupa była wybielana, a ja oczerniana o brak podstawowych kulinarnych umiejętności, ale podejrzewam, że bujał w obłokach. Może myślał o skarpetach pod choinką albo o krawacie od mamusi, minę miał na pewną głupawą. I nic nie mówił w obronie swej kobiety i jej barszczyku.

Moi rodzice, jak przystało na kochającą się parę, przypominali sobie nad wigilijnym stołem o wszystkich ciężkich grzechach, o których zapomnieli porozmawiać w ciągu ostatnich trzystu sześćdziesięciu powszednich dni.

- Gadasz i gadasz, bez przerwy gadasz – ojciec z miłością spoglądał na matkę.

- Patrzcie, święty się znalazł, dziad jeden... – komplementowała ojca matka.

„Nie ma to jak święta z rodziną ...” myślałam, przeżuując kawałek pieroga.

W tym roku jednak pierogów i barszczu bez barwy nie będzie.

Teściów tym bardziej.

Nawet rodziców i niewypałów z pluszu.

- Tak właśnie będzie – zakomunikowałam.

Mąż zrobił głupią minę, lecz nic nie powiedział. Być może coroczna refleksja nad świątecznymi skarpetami męczyła go bardziej niż przypuszczałam. Dziecko sześciolatnie zapytało czy będą prezenty. Odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że jak dokładnie określi co chce, to może. Dziecko czternastoletnie podskoczyło z radości do góry, ciesząc się, że wreszcie starzy zmadrzeli, a ono w końcu spędzi święta słuchając metalu a nie kołędowego zawodzenia babci przy telewizorze.

Rodzicom życzyłam udanych kłótni świątecznych, a teściom szerokiej drogi do dalszej rodziny.

I kiedy już myślałam, że wreszcie będzie normalnie, zadzwonił dzwonek do drzwi.

W drzwiach stał bałwan. Bałwan prawdopodobnie z mojego podwórka, gdyż garnek na jego głowie wydawał mi się dziwnie znajomy.

- Tak się nie robi – wymamrotał – tak się nie robi.

- No... – odpowiedziałam.

Niestety, nie dowiedziałam się co bałwan miał na myśli, gdyż ostentacyjnie rozpląnął mi się w progu.

- No i masz babo bałwana – westchnęłam.

W chwili, gdy wróciłam ze ścierką, by zmyć jego szczątki, w progu stał kolejny jegomość. A raczej jej mość, w dodatku królewska.

- To błąd – powiedziała Królowa Śniegu – w ciągu roku można mieć serce z lodu, ale w święta trzeba odpuścić.

- Nie chcę skończyć jak bałwan – odpowiedziałam.

- To skończysz jak ja.

- Ale świąt tym bardziej nie chcę! – krzyknęłam i zatrasnęłam drzwi królowej przed nosem. Chwilę później stwierdziłam, że jak na sen było to bardzo realistyczne trzaśnięcie. Tak samo jak kolejny dzwonek do drzwi.

- Ho, ho, ho! – grzmiał Święty Mikołaj w progu – Kogóż widzą moje oczy? Pani „nie-lubię-świąt.pl!

- A nie lubię, bo co? – zapytałam, przekonana, że we śnie można urągać nawet świętemu.

- A no nic. Mi twój bojkot nie przeszkadza, w sumie będzie mniej pracy i mniej zażaleń na nie ten numer Chanel co trzeba... ale im może być przykro.

Zobaczyłam męża, jak wraca z pracy. Zatrzymał się przy stoisku z choinkami, dotknął gałęzi drzewka, ale po chwili westchnął i poszedł dalej. W domu moje sześciolatnie dziecko dziecięcymi kulfonami pisało list do świętego, w którym prosiło o rudą małpkę. Bóg raczy wiedzieć, co to za małpka, ale to już przynajmniej nie był trzydrzwiowy miś pluszatek. Dziecko starsze, jak to się mówi, złapało doła, bo nikt z nim nie chciał słuchać metalu ciężkich w wigilię. Wszyscy w rozjazdach, przy świątecznym stole.

Jakby tego było mało rodzice pokłócili się o moje wychowanie, a teściowie przygotowywali się do samotnej wigilii.

- Jedna twoja decyzja wpływa na życie tak wielu osób... – zaczął patetycznie święty Mikołaj, ale piorunującym wzrokiem zasugerowałam mu zejście z chmur na ziemię.

- Prawa karpi są przestrzegane, to niech i prawa matki-Polki-niewolnicy będą respektowane w święta...

- Uznajmy, że to będzie twoje świąteczne życzenie... tylko nie olewaj świąt i nie ignoruj bliskich – pogroził mi palcem święty, po czym poczułam jak zimno wieje mi po nogach. W drzwiach nikogo nie było, a ja stałam w progu i nie wiedzieć czemu miałam mokre kapcie i emaliowany garnek pod stopami.

Godzinę później zadzwoniłam do teściowej prosząc o przepis na barszczyk doskonały bez grama proszku. Tym razem teściowa rozplątywała się w zachwytach nad moją zupą, jak nie przymierzając, bałwan w moich drzwiach.

Moje młodsze dziecko dostało zestaw kolorowych małpek, do podziału z koleżanką Mają w przedszkolu.

Dziecko starsze zaproponowało metalową wersję „Lulajże Jezuniu”, co było naprawdę okropne, ale i tak lepsze niż zawodzenia babci.

Mąż przyznał, ku oburzeniu teściowej, że barszczyk z domieszką proszku był lepszy.

Rodzice nadal kłócili się nad stołem, ale doszłam do wniosku, że każdy ma swoją świąteczną tradycję, więc pozwoliłam im na gorzkie żale w wigilię.

A ja?

Usiadłam za stołem i pomyślałam z radością, że święta to magiczny i wyjątkowy czas...

Na szczęście tylko raz w roku.

I niech już tak zostanie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Skropka, dodano 14.01.2010 09:15

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.